

Czego nas uczy prowokacja gliwicka

[Andrzej Jarczewski](#)

Piszę ten artykuł w kwietniu 2014 z pozycji kierownika **Radiostacji Gliwice**, stanowiącej obecnie obiekt muzealny. Przez wiele lat badałem różne aspekty przygotowań do niemieckiej napaści na Polskę, by jakoś zrozumieć to, co stało się w Gliwicach **31 sierpnia 1939**. Efektem tych badań jest m.in. książka pt. *Provokado*, wydana po raz pierwszy pięć lat temu przez Muzeum w Gliwicach. Inspiracją esperanckiego tytułu tej książki była nie tylko przypadająca wówczas 150. rocznica urodzin Ludwika Zamenhofa, ale i pewna właściwość języka, który on stworzył. Otóż za pomocą cząstki **-ad-** można po esperancku zaznaczyć długotrwałość lub powtarzalność czynności. Takiej możliwości względem wyrazu 'prowokacja' nie ma w języku polskim. A w esperanto – z 'provoko' można utworzyć 'provokado', by wyrazić myśl taką, że prowokacja polityczna w swej istocie nie jest jednorazowym wydarzeniem, ale metodą, która przez państwa zbójckie bywa stosowana w powtarzalny sposób. Nie mogłem jednak w roku 2009 mieć na uwadze Krymu ani wschodu czy południa Ukrainy. Dziś – w kwietniu 2014 – mam.

Narracja przeciw historii

Równoległe i niezależnie od siebie snują się dwie narracje o prowokacji gliwickiej. Pierwsza – historyczna – opiera się na faktach, protokołach norymberskich, zeznaniach świadków i na dokładnych badaniach miejsca wydarzeń. Druga – wielowariantowa, literacka i filmowa – odzwierciedla geniusz fabularny autorów tudzież potęgę ich nieokiełznanej wyobraźni.





W świadomości tysięcy turystów, którzy odwiedzają gliwicką Radiostację, funkcjonuje wyłącznie ta druga wersja, co by dowodziło wyższości sztuki nad nauką, czy może tylko większej atrakcyjności fikcji niż prawdy. W społecznym odbiorze **liczy się bowiem nie to, co się zdarzyło, ale to, co pokazano**. Tymczasem – w historii Radiostacji Gliwice – prawda jest nieskończenie ciekawsza niż wszystkie fabuły na ten temat razem wzięte!

Z całą prawdą jest jednak pewien kłopot. Otóż gliwicka awantura z roku 1939 była tak niewiarygodnie głupio wymyślona i tak – na pierwszy rzut oka – nieporadnie przeprowadzona, że aż to się nie mieści w głowie. Na przykład napastnicy nie wiedzieli, że w Gliwicach były dwie radiostacje, i zaatakowali tę, w której nie było... studia z mikrofonami. Przypomina to kwietniowy (2014), pomyłkowy napad na teatr w jednym z miast Donbasu. „Zielone ludziki” miały zająć budynek administracji, ale źle trafiły. Dowód, że owe ludziki nie były „tutejsze”. To warto pamiętać: machina tajnych prowokacji ma w sobie ziarno błędu, właśnie tajność. Nie wszystko da się dobrze zaplanować, bo nie każdy może znać... cel akcji.

Historia powtarza się niedokładnie

By korzystać z doświadczeń historycznych, trzeba przyjąć, że niektóre zjawiska są powtarzalne, inne znów incydentalne. Te pierwsze mają swój napęd w człowieku, w jego niezmiennej naturze, a także w cywilizacji, która go ukształtowała; te drugie – w zmiennych okolicznościach. Kto potrafi pierwsze odróżnić od drugich, może być pojętym uczniem Historii. Kto poprzestanie na aspektach przygodnych – nie nauczy się niczego.

Badanie faktów w Gliwicach dokonanych otwiera ciekawe i zupełnie nowe perspektywy poznawcze, zwłaszcza że pod wieloma względami stan ducha europejskich przywódców w sierpniu 1939 prowadził wprost do powtórki zdarzeń, poprzedzających – o rok wcześniejszy – zabór czeskich Sudetów. Wnioski z badań tych powtarzalności mogą mieć znaczenie nie tylko dla historiografii, ale i dla każdej teraźniejszości, bo znów obserwujemy równie osobliwe prowokacje polityczne i znów – jako międzynarodowa społeczność polityczna – popełniamy ten sam błąd, który się zwie zaniechaniem. Nie potrafimy niczego przewidzieć, nie przygotowujemy się do możliwych zagrożeń, a gdy te już się pojawią – okazujemy całą potęgę swej... bezsilności.

Coś widocznie zmusza człowieka do szkodenia innym ludziom i pcha go do zbrodni. Co to jest? Sprawdźmy! Choćby po to, by wiedzieć, jak się przed tym bronić. Bo „głupstwo” może być zaplanowane. To, co wydaje się nam błędem – może w istocie okazać się rezultatem. Przypomnijmy więc sobie, o co chodziło prawdziwym sojusznikom z roku 1939, czyli Hitlerowi i Stalinowi. I o co chodziło nieprawdziwym sojusznikom Polski: Anglii i Francji.

Otóż dla III Rzeszy i ZSRR – zachowanie neutralności lub bezczynności przez Francję i Wielką Brytanię było podstawowym warunkiem powodzenia rozbioru Polski, zatwierdzonego paktem Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939. Wśród wielu działań, zmierzających do odizolowania Polski od jej nominalnych sojuszników, wyróżniały się – inscenizowane przez Niemcy (ZSRR robił to samo, ale dotychczas nie zdołaliśmy tego solidnie zbadać) – incydenty nadgraniczne, o których sprawstwo obwiniano Polskę.

Już w czerwcu-lipcu 1939 Niemcy przygotowali rozrysowany w szczegółach plan 223 akcji dywersyjno-prowokacyjnych, realizowanych w sierpniu z różnymi skutkami przy granicy, ale po polskiej stronie. Były to na ogół napady na budynki lub dobra kultury mniejszości niemieckiej w Polsce, dokonywane przez ludzi Himmlera w celu obarczenia Polaków winą za wzrost napięcia między narodami.

Ciekawe, że strona polska nie przykładła większej wagi do tych incydentów. Być może również po polskiej stronie obawiano się, że to naprawdę jacyś nieodpowiedzialni Polacy wyładowują swoją agresję na niemieckich sąsiadach? A może w obliczu poważniejszych zagrożeń zlekceważono drobniejsze napaści, zwłaszcza że niektóre miały zwykły, kryminalny charakter? W kilku przypadkach ujęto niemieckich dywersantów, ale nie wyciągano wniosków o szerszym horyzoncie.

Liczbę 223 napadów podał dopiero Edmund Osmańczyk, który w roku 1951 opublikował część „tajnego archiwum Himmlera” w książce pt. *Dowody prowokacji*. Należy tu odnotować, że prof. Karol Marian Pospieszalski, który połowę swego niemal stuletniego życia poświęcił badaniom tych wydarzeń, potwierdził ponad wszelką wątpliwość zaledwie 23 przypadki z listy Osmańczyka. Prof. Pospieszalski wykazał m.in., że hitlerowcy odstąpili od wszystkich zamachów na terenie Wolnego Miasta Gdańska.

Te awantury na – warto powtórzyć – terytorium polskim nie wzbudziły jednak większego zainteresowania w świecie, przyzwyczajonym do lekceważenia sąsiedzkich waśni. Trzeba więc było spreparować coś po niemieckiej stronie granicy.

Niemcy musieli przygotować operację, która tak przerazi opinię publiczną w krajach demokratycznych, że przywódcom tych krajów umożliwi... „wybranie pokoju”.

Wymyślono więc napad siedmioosobowej grupy funkcjonariuszy niemieckiej służby bezpieczeństwa na niemiecką radiostację w Gleiwitz z zamiarem – powtórzmy, bo to ważne – z zamiarem obciążenia Polski winą. Na kilka godzin przed rozpoczęciem wojny odbyły się też duże niemieckie napady na niemieckie obiekty w Pitschen (Byczyna) i w Hochlinden (pod Rybnikiem). Nie odegrały one jednak żadnej roli i cała zła sława ostatnich godzin pokoju spłynęła na Gleiwitz.

31.08.1939 o godz. 20.00 napastnicy, udający **cywilnych** powstańców śląskich, zajęli radiostację, ale zdołali nadać zaledwie dziewięć słów: *Uwaga, tu Gliwice! Radiostacja znajduje się w rękach polskich...* Napad na radiostację się udał, ale cel, czyli poinformowanie sojuszników Polski, że mają siedzieć cicho, nie został osiągnięty, bo z tych kilku słów jeszcze nic konkretnego nie wynikało. Należało z igły zrobić widły, z komara – słonia, więc dwie godziny później radio berlińskie wyemitowało obszerny komunikat o akcji w Gliwicach oraz o rzekomych atakach powstańców, których wspierać miały regularne oddziały Wojska Polskiego.

W ten sposób oskarżono Rzeczpospolitą o rozpoczęcie wojny już wieczorem 31 sierpnia 1939, a niemieckiego agresora przedstawiono jako ofiarę. Dla Hitlera opowieść o incydentach granicznych stanowiła alibi („odpowiadamy ogniem”), a dla Francji – jeden z pretekstów do nieudzielenia Polsce militarnej pomocy. Sam gliwicki napad wyznaczał tylko miejsce akcji, a raczej narracji. Dalszy ciąg tej narracji nie miał już z faktami nic wspólnego. Pisano go wszak w Berlinie.

Musimy używać wyrazu ‘prowokacja’, bo tak w historiografii nazwano incydent gliwicki i tego raczej nie da się już skorygować. Ale wyraz użyty jest niewłaściwie, bo – gdy mówimy o prowokacji – należałoby zaraz dopowiedzieć: kto, kogo i do czego prowokował. Z tym może być kłopot, więc najpierw spróbujmy odnaleźć głównych adresatów narracji o tym wydarzeniu. Narracji natychmiastowej i tej przygotowanej dla przyszłych pokoleń.

Hitler w żadnym wypadku nie mógł ryzykować wojny na dwa fronty, a zwłaszcza – wojny na własnym terytorium. A to właśnie mogło, czy wręcz powinno nastąpić na mocy alianckich traktatów, na których w roku 1939 polski rząd opierał swoje mrzonki o bezpieczeństwie kraju.

Hitler zdawał sobie sprawę, że po ataku na Polskę może się np. załamać pogoda, a w wielkich deszczach przewagę zyskują ci, którzy się bronią. Samoloty niemieckie nie wystartują, czołgi utracą wartość bojową, pojawią się inne utrudnienia i – wobec poważnych zagrożeń na granicy zachodniej – zaistniałyby przesłanki do zamachu stanu czy nawet królobójstwa z ręki fałszywych przyjaciół lub szczerych wrogów politycznych.

Na narodzie niemieckim nie ciążyły jeszcze, nawet pośrednio, żadne zbrodnie. Owszem, istniały już obozy koncentracyjne, szerzyły się polityczne morderstwa i prześladowania rasowe, ale wciąż można było po nazwisku wskazać konkretnych sprawców. Jeszcze nie dokonano rytualnego zanużenia w zbrodni całego narodu, jeszcze nie rozprawdzono winy na wszystkich „porządnych” Niemców.

Zwykli obywatele nie czuli się obowiązani bronić führera za wszelką cenę, czyli za cenę również własnego życia. Naród niemiecki nie był wówczas gotowy do zaakceptowania bombardowań np. Zagłębia Ruhry, a to byłoby naturalną konsekwencją przystąpienia Wielkiej Brytanii do wojny.

Opozycja wprawdzie była w Niemczech stłamszona, ale w sytuacji kryzysowej zdarzały się w historii najdziwniejsze zwroty sytuacji. Ostrożność – z punktu widzenia Hitlera – należało zachować. Tak więc pierwszym adresatem komunikatu o polskim napadzie na Gliwice był naród niemiecki, w tym – szeregowi żołnierze. Oni mieli usłyszeć, że państwo niemieckie wojny **nie wypowiada**, lecz zaledwie **odpowiada** na straszliwą napaść wrogiego sąsiada.

Równie ważnym adresatem była niemiecka generalicja. Hitler najchętniej by tych wszystkich swoich sztabowców powystrzelał. Nie lubił ich, bo kulturą, wykształceniem i nie-nagannymi manierami przewyższali nazistowską górę o całe Himalaje. I tę wyższość boleśnie okazywali. Byli to oczywiście niemieccy patrioci i nawet nacjonaści, ale wcale nie parli do wojny. Wielu z nich uważało Hitlera za wariata, który zamierza wciągnąć Niemcy w groźną, wręcz samobójczą awanturę.

Hitler miał jednak osobiste powody, by się śpieszyć. Rozstrzelanie arystokratycznej generalicji opóźniłoby o kilka lat osiągnięcie strategicznej gotowości, a nie było żadnych gwarancji, że ówczesni oficerowie młodszy będą w przyszłości równie dobrzy w dowodzeniu armiami i nierównie posłusniejsi niż ich aktualni przełożeni. Należało więc trochę umundurowaną górę postraszyć, ale za bardzo jej nie przetrzebić, bo czasu na regenerację najwyższej kadry brakowało.

Ci ludzie mieli być jakoś pozyskani dla idei panowania nad światem, a dopiero później stopniowo sprowadzani do poziomu zwykłego mordercy. Pięć lat upłynęło od „nocy długich noży” (29 czerwca 1934) i dopiero za pięć lat (20 lipca 1944) Claus von Stauffenberg przystąpi do (nieudolnego) działania. W roku 1939 sztab generalny pamiętał o zbrodni na swoich konkurentach z SA z wdzięcznością, ale i z obawą. Powoli też zaczynało naprawdę wierzyć w mit „tysiącletniej Rzeszy”.

W podobnej sytuacji Stalin – który chyba już uważał się za nieśmiertelnego, a plany snuł na tysiąc lat swego panowania – otóż Stalin nie wahał się zbyt i najwyższych dowódców Armii Czerwonej wybił niemal w komplecie, w czym zresztą pomocna, czy wręcz inspirująca okazała się intryga niemiecka z udziałowcami późniejszej prowokacji gliwickiej w tle, a nawet na pierwszej linii. Tak, tak. Sturmbannführer Alfred Helmut Naujocks, dowódca grupy realizującej prowokację gliwicką, był jedną z kluczowych postaci, fabrykujących dowody rzekomej zdrady Tuchaczewskiego, co umożliwiło Hitlerowi wymordowanie – rękami Stalina – przeważającej większości sowieckich generałów i marszałków.

Tenże Naujocks, co dziś warto przypomnieć, gdy na Ukrainie „zielone ludziki” porywają zakładników (chodzi o ośmiu ekspertów OBWE, porwanych 25 kwietnia 2014 w Słowiańsku), otóż Naujocks dowodził również słynnym porwaniem Brytyjczyków w holenderskim mieście Venlo i realizował wiele innych działań specjalnych. Na przykład na masową skalę drukował dobrze podrobione brytyjskie funty. Patrzmy, co za chwilę stanie się z hrywną. W Polsce przedrozbiorowej też król Prus zaczął swój podbój od psucia polskiej monety.

Następni adresaci

Kolejny ważny odbiorca awantury gliwickiej to Benito Mussolini. Poparcie włoskiego sprzymierzeńca było dla Hitlera ważne. Tymczasem Duce nie żywił względem Polski wrogich zamiarów i tak chciał pomagać Niemcom, jak Francja Polsce: w słowach wspinał się, a w czynach wcale. Dał temu wyraz 25 sierpnia, dość pokrętnie odmawiając udziału w wojnie. Hitler musiał więc Mussoliniemu udowodnić, przed jakim to okropnym potworem Niemcy muszą się teraz bronić.

Następny adresat to Franklin Delano Roosevelt. Prezydent USA już 24 sierpnia 1939 otrzymał od swego ambasadora w Moskwie dokładną informację o najważniejszych punktach tajnego protokołu do niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji; tzn. wiedział, że nowy rozbiór Polski jest szykowany na najbliższe dni. Nie przekazał tej informacji Polakom, bo mogłoby się wydać, że ma w Moskwie wysoko ulokowanego informatora. Roosevelt zapracował jednak na swoje alibi, wysyłając 25 sierpnia do Hitlera pacyfistyczną depezę, której treść nie ma wprawdzie żadnego znaczenia, ale sam ten fakt wymaga odnotowania.

Do listy adresatów wypadaloby dodać światową opinię publiczną, rządy innych krajów i jakieś dalsze adresy, na które zostanie doniesiona wiadomość o strasznej polskiej agresji na biedne państwo niemieckie. Wśród adresatów szczególne miejsce zajmuje Stalin, którego Hitler nienawidził, ale i osobliwie szanował, i z którym konkurował w zawodach o największość. O to kto potrafi zrobić większy spęd swoich poddanych, większe przedstawienie, kto sobie zbuduje wspinałszą piramidę i kto popełni cięższą zbrodnię.

Nie wszystkie bowiem działania Hitlera miały sens polityczny. Niektóre należałoby rozpatrywać również w poetyce gry, spektaklu, współzawodnictwa lub antycznych igrzysk. A gliwicki spektakl był adresowany do wielu różnych widzów. Jedni mieli podziwiać, drudzy zazdrościć, następni podnieść gotowość bojową, kolejni – stracić ducha itd.

Było w tym, charakteryzujące Hitlera, pomieszanie celów politycznych i estetycznych. Te cele zazwyczaj jakoś harmonizowano, ale nie zawsze okazywało to się możliwe. Zdarzały się również konflikty nie do przewyciężenia. Hitler z biegiem lat coraz trudniej radził sobie z tego rodzaju problemami. Realizował w końcu cele rozbieżne, czego skutki znamy. A w naszej sprawie – gdyby chodziło tylko o politykę, byłoby więcej racjonalności w działaniu. Staranniej by rzecz przygotowano, pomyślano by nie tylko o dniu i tygodniu następnym, ale nawet o siedemdziesiątej piątej rocznicy. Hitler cierpiał wtedy na dojmujący głód wielkiego spektaklu: wojny! Wyobrażał sobie pewnie, że jest demiurgiem największego teatru na świecie.

Wielomiesięczne przygotowania, wszyscy na stanowiskach, powoli gaśnie światło... Premiery nie może nie być! Dyrektor takiego teatru straciłby wiarygodność w oczach aktorów i publiczności. W podobnej sytuacji nie wszystkie konsekwencje się przewiduje. I to spływa na coraz niższe szczeble. Na samym dole nie ma już mowy o myśleniu. Jest rozkaz, jest i wykonanie. Zauważmy, że również niektóre dzisiejsze działania i medialne wystąpienia Putina – dość absurdałne politycznie i szkodliwe dla rosyjskiej gospodarki – mają niebagatelne walory teatralne, choć tylko dla miłośników tego dyktatora.

Wracamy do końcówki sierpnia 1939 na główną scenę teatru szykowanej wojny. Za parę dni, w pierwszych dniach września, najważniejsza dla Hitlera będzie Francja. Żeby przez chwilę siedziała cicho. A potem? Dla Francji zbyt długiego „potem” nie przewidywano. Kolejność zabijania lub zniewalania ras i narodów została już wstępnie zarysowana. Francuzi aspirowali wprawdzie do końca tej listy i później gorliwie z Niemcami kolaborowali (w Indochinach z Japończykami), ale na liście narodów do likwidacji i tak mogli się któregoś dnia znaleźć. Ta bomba już spadała i nie od Francji zależało, czy i gdzie eksploduje. Hitler w każdej chwili mógł dowolnie zmieniać opcje i nietrudno sobie wyobrazić zdarzenie, po którym status Francuzów mógł zjechać na poziom najniższy.

Tak więc w sierpniu 1939 Hitler doskonale rozumiał francuskie interesy i świadomość polityczną Francuzów, którą zresztą sam – ścigając się w tym ze Stalinem – efektywnie kształtował poprzez sieć przekupionych pismaków. Teraz tylko należało zgrabnie to spiąć i sprawić, by długofalowe cele Niemiec realizowały się przez doraźne interesy zachodnich demokracji, terytorialną pazerność Stalina i przez polski honor bezrefleksyjny. 31 sierpnia 1939 popłynął więc z Gliwic do Paryża komunikat o wielkim znaczeniu dla przyszłości świata. Po wzmocnieniu przez Berlin, zdeszyfrowaniu i przełożeniu na język współczesny – treść tego komunikatu była następująca. *Drodzy Francuzi, skorzystajcie z okazji, by siedzieć cicho! Pora na was nie nadeszła... Jeszcze!*

W prowokacji gliwickiej mamy niewątpliwego sprawcę, czyli wyraźny podmiot celodawczy: Hitler, Himmler, Heydrich. Wyobrażamy też sobie całą galaktykę adresatów:

Mussolini miał coś zrobić, Francja miała nic nie robić, Wehrmacht miał poczuć moralny komfort, Stalin miał podziwiać i zazdrościć, Ameryka i Anglia miała czym uspokoić sumienie, a cały świat powinien być zadowolony, że biją tego, kto na to zasłużył. Wśród adresatów tej awantury nie było Polski!

Hitler jako happener

Dzianie się. Niekoniecznie celowe. Decydowało kryterium natężenia cechy. Ważne było nie to, czy dana rzecz jest dobra czy zła; wesoła czy smutna; ale: mała, czy duża. Według tego kryterium wielka zbrodnia była tysiąckroć ważniejsza niż małe, codzienne szczęście. Wydarzenie, o którym usłyszy cały świat, jest ważne. Nawet jeżeli nie ma sensu. Robimy! Zwycięzców o sens nikt nie zapyta. O sens!

Hitler jako performer. Najważniejsze: jakie wrażenie wywiera się na słuchaczach. To schodziło niżej. Heydrich wobec Naujocksa, ten znów wobec swoich podkomendnych, których traktował nie jako partnerów, ale – sam to zdefiniował – jako: *ludzi przyzwyczajonych do wykonywania rozkazów* (deszyfruj: *zawodowych morderców*). Wszyscy naziści przed sobą udawali; odgrywali postaci, za jakie chcieliby uchodzić. To było możliwe. To było w dobrym tonie, wręcz nagradzane. Przeciwno temu aktorstwu nie było zwyczaju występować. To przenikało w dół aż do szeregowca, któremu pozostawało granie już tylko wobec ofiar. Charakterystyczny szczegół znalazłem w *Rozmowach z katem* Kazimierza Moczarskiego. Jürgen Stroop nawet w domu był bardzo starannie ubrany. Jeśliby ktoś niespodziewanie go odwiedził, nie zastałby go nigdy w stroju nieporządnym, nieogolonego, niewyczesanego. On grał sam

przed sobą! I oplótł to całą ideologią, którą potrafił przekonująco opowiedzieć. (Dużo aktorstwa dostrzegam też w działaniach prorosyjskich aktywistów na Ukrainie. A dziennikarze, którzy przekonująco opowiadają o ukraińskiej „winie” otrzymali z rąk Putina sowite nagrody).

Hitler jako wagnerowski Rienzi, ale też Hitler jako szpaner ze skazą nerońską: władza to spektakl, rządzenie to przedstawienie! A niżej? W systemie mafijnym, czyli w skojarzeniu legalnej władzy z pozaprawną przemocą, najważniejsza jest absolutna dyspozycyjność, posłuszeństwo, wręcz uległość, demonstracyjnie okazywana przełożonemu. Jednocześnie – pełne pychy celebrowanie wyższości nad każdym podwładnym: nonszalanckie u góry i karykaturalne na dolnych szczeblach hierarchii służbowej.

By zrozumieć te postawy, patrzmy na filmy. Nie na filmy o hitlerowcach, ale na filmy, które oglądali sami naziści. Kino było wtedy bronią masowego rażenia wzorotwórczego. Hitler był kinomaniakiem, a Stalin własnoręcznie poprawiał scenariusze, żeby lepiej w nich wypaść. Każdy łachudra chciał być głównym aktorem. I stawał się nim wobec tych, nad którymi miał władzę.

Nie wiem, co ogląda Putin, ale widzę, jaki spektakl urządza on codziennie swojemu narodowi i jak demonstracyjnie pokazuje światu swoją wszechwładzę. Pycha nie charakteryzuje wyłącznie Putina. Podobnie robiło przed nim wielu. Każdy korzystał z takich środków przekazu, jakie miał do dyspozycji. Hitler stawiał na radio i kino; Stalin – na kino i radio, antyamerykańska lewica na amerykańską telewizję (w czasie wojny wietnamskiej). Putin stawia na internet. Nie w nowe czołgi inwestuje, bo czołgi łatwo zniszczyć, ale w cyberarmię.

Hierarchia celebrycka

Obok hierarchii służbowej rodzi się hierarchia medialna. Wtedy głową (dziś chyba tylko stanowiskiem) ryzykował polityk, a nawet artysta, który na tej drabinie chciał wejść wyżej niż władca. Stalin był patologicznie wręcz zazdrosny i cały sztab ludzi pracował nad tym, by każde zdjęcie, każdy film czy książka, każde opublikowane zdanie odzwierciedlało aktualną hierarchię celebrycką według sztywnych zasad, obowiązujących twórców komunistycznych ikon. A ta hierarchia od lat trzydziestych wyglądała zawsze tak samo: Stalin, potem długo, długo nikt, a dalej – najgorliwsi w danym dniu klakierzy.

Nikt się nie dziwił, gdy na tym samym zdjęciu, opublikowanym w późniejszym wydaniu tej samej encyklopedii, któregoś mafiosa już nie było. To wymazywanie osób z kadru czyniono bezwstydnie, jawnie, by podnieść boskość wodza: on już nawet panuje nad przeszłością!

Niespecjalnie też ukrywano zlecniodawców zbrodni politycznych. Dla sądu byli to „nieznani sprawcy”, wypadek, zbieg okoliczności. Dla ewentualnych oponentów – oczywista przestroga: znajdą cię, zabiją! Do różnych adresatów docierały różne poziomy politycznego przesłania, jakim był komunikat o morderstwie.

Ten mechanizm zadziałał również w naszej prowokacji i wykorzystywany jest przez różnych satrapów do dziś. Jeżeli opozycyjny względem Putina dziennikarz nie jest po prostu zastrzelony, ale otruty niedostępnym polonem – tropy prowadzą do jednego tylko zlecniodawcy. Ale za rękę złapać się go nie da.

Medialna pazerność nie stanowi jakiejś wrodzonej cechy niemieckiej, rosyjskiej czy gruzińskiej. Ta choroba ogarnia cały świat. To była (a w paru miejscach nadal jest) epoka dyktatorów. Epoka powszechnego uwiedzenia nowymi mediami: radiem i kinem. Epoka PR-u łupanego. Żeby dobrze wypaść na wielkim ekranie. Żeby chwalili przez radio. Ta epoka nie przeminęła, tylko ekrany się zmniejszyły i weszły do każdego domu. W społecznościach niedemokratycznych dyktatura jako metoda zastygła do naszych czasów. Musi być tylko spełniony jeden warunek: monopol w mediach. Uwielbienie tłumów gwarantowane. Takich, którzy potrafią z bizantyjskim przepychem zorganizować entré, nigdy w otoczeniu despotów nie braknie. Tłuszcza kocha swoich cesarów i organizowane przez nich igrzyska. Póki niegłodna.

Nie wszyscy jednak mieli okazję, by szpanerstwo doprowadzić do zbrodniczej karykatury. W SS, w NSDAP, a potem w kolejnych organizacjach cywilnych i wojskowych aktorskie zachowania stanowiły normę. Pozy wodzów *Tysiącletniej Rzeszy* były – w założeniu – naśladowaniem wielkich postaci antyku. Dla nas są kabotyństwem. Nie odgrywaniem cesarów, ale zaledwie – udawaniem aktorów, grających cesarów.

Performance w Radiostacji

W Gliwicach hitlerowska estetyka w pełni harmonizowała z polityką. Przynajmniej w założeniach, bo w wykonaniu już mniej. Liczba popełnionych błędów jest tak wielka, że kompletnie obraża inteligencję organizatorów. Byli to jednak z całą pewnością ludzie inteligentni. Sprzeczność? A może to wcale nie były błędy, tylko rezultaty?

Może oceniamy grę według innych reguł niż przyjęte przez Heydricha lub nawet Hitlera? Oglądamy oto fragment rozgrywki brydżowej i widzimy, że wszyscy popełniają niewytłumaczalne pomyłki. Już chcemy odejść od stolika, przy którym siedzą brydżowi analfabeci, aż tu nagle jeden z nich wyklada cztery damy i mówi: *kareta!* W tym momencie zmienia się cała optyka. Przecież tu nikt nie pobłądził. Oni grali w pokera!

Hitler rzucał ogólne idee, zatwierdzał ich zgrubne projekty rozkazodawcze i nie interesował się problemami wykonawczymi. Z rzadka wtrącał się w drobne szczegóły, komplikując tylko sytuację. A fachowcy nie mieli odwagi, by nie wykonać rozkazu nawet wtedy, gdy stało się jasne, że jakaś operacja będzie kompletnym idiotyzmem. Być może nawet Hitler zdawał sobie z tego sprawę. Ale już nie mógł się wycofać. Przed swoimi służalcami też grał nieomylnego. Nie mógł zepsuć spektaklu! Poza tym – do pełnej deifikacji brakowało mu już tylko dowodu panowania nad życiem i obcych, i swoich: wojny. Dla psychiki Hitlera wycofanie się w tym momencie z błędu było niemożliwe.

W Radiostacji pokazuję i wyjaśniam dzieciom: co było prawdą, a co kłamstwem i dostrzegam, że na tej płaszczyźnie jestem rozumiany nawet przez najmłodszych. Ale uwagę starszych uczniów, gimnazjalistów, kieruję na inny aspekt sierpniowych kłamstw z roku 1939. Otóż nie zasypano świata rojem faktoidów, czyli informacji wyssanych z palca. Przygotowano setki operacji rzeczywistych. Tysiące ludzi przetestowano w kłamstwie. Kolejne tysiące zmuszano, by poświadczwały nieprawdę. Miliony skłaniano do wiary w niewiarygodne. Te napady były prawdziwe!

Ludzi zamordowano naprawdę! Użyto prawdy jako broni. Ostatecznie kłamstwo wyszło na jaw. Prawda też. Ale to żadna pociecha. Zwłaszcza dla zabitych. Zwycięstwo prawdy nie jest celem. Życie człowieka jest!

Kiedy zacznie się wojna

Pokazanie na konkretnym przykładzie, jak działa kłamstwo polityczne, jest ważniejsze niż spacer trasą napastników. Bo drugi raz na tę radiostację nikt już w podobny sposób napaść nie będzie. I dwa razy nie trzeba jej zwiedzać. Przebieg tego zdarzenia nikogo niczego drugi raz nie nauczy! W każdym filmie kryminalnym zobaczymy sprawniejsze akcje. Natomiast kłamstwo jest powtarzalne. Poszukujemy przykładów. I te sypią się z rękawa. A na pierwszym miejscu – wykorzystywanie małej prawdy do wielkiego kłamstwa, nadużywanie własnej prawdy do zakłamania historii świata.

To właśnie w Niemczech teraz się odbywa. Cierpienia Niemców są najważniejsze. Tu, w Gliwicach, w pierwszym (na południu) przedwojennym niemieckim dużym mieście, opuszczonym przez mężczyzn i zajętych przez Armię Czerwoną – pamięć o tych cierpieniach w wielu rodzinach żyje do dziś. Tego nie ignorujemy.

Ale też nie lekceważymy prawdopodobieństwa, że za jakiś czas pojawią się turyści święcie przekonani, że ~~polscy naziści są winni, bo wywołali wojnę, a Rosjanie uratowali umęczony brytyjskimi bombami naród niemiecki przed zagazowaniem przez polskich antysemitów~~. Elementy takiego światopoglądu dostrzegam każdego dnia.

Jeżeli tolerancja wobec fałszywych poglądów zwycięży w nas dbałość o dobre imię Polski – taki właśnie lub podobny myślowy śmietnik *ogarnie ludzki ród*.

Nie wystarczy z tym walczyć. Powinniśmy zaproponować rozwiązanie niestandardowe, ulokowane na wyższym poziomie odpowiedzialności za losy świata. Jeżeli prowokacja gliwicka nas czegoś uczy, to tego, że w relacjach między państwami nie należy operować kategorią *winy*. Tu samonapad doprowadził do samosądu. Relewancja winy posłużyła do propagandowej osłony napaści silniejszego na słabszego.

Skończmy też z pojęciem *winy przodków*. To, co jest właściwe dla sądowego pozwu, nie jest odpowiednie dla poznawania prawdy dziejowej. Albo inaczej: jeżeli zmierzamy do osądzenia jakichś czynów – powiedzmy to wyraźnie i dążmy do wyważenia win, cierpień i zadośćuczynień we właściwym dla sprawy trybunale. Jeżeli jednak chcemy poznać prawdę – nie wspominajmy o winie! Pytajmy czasownikowo i mówmy o czynnościach. Kategoria winy oddala od prawdy. Tam gdzie życie ludzi i narodów nie jest bezpośrednio zagrożone, ważniejsza jest wiedza niż kara. Ale bądźmy ostrożni tam, gdzie historia się powtarza.

Jeśli więc ta historia się teraz powtarza – możemy spać spokojnie, dopóki nieznani sprawcy działają na Ukrainie. Ale bójmy się wydarzeń po stronie rosyjskiej. Jeżeli (jak przed wojną z Czeczenią lub Gruzją) coś wybuchnie w Moskwie, w Cchinwali czy gdziekolwiek w Rosji, jeżeli zginą ludzie, a winnych się wskaże wśród osób o urodzie ukraińskiej... wtedy już nie zaśniemy. Wtedy zacznie się prawdziwa wojna.

[Andrzej Jarczewski](#)

